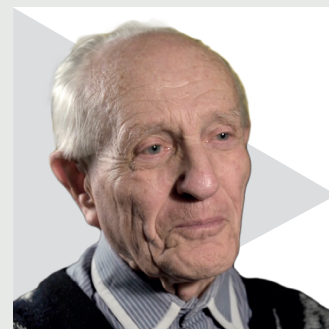




Mieczysław Chojnacki

część IV z VII

Sygnatura notacji: **N0867**
Data urodzenia: **26.03.1924 r.**
Data nagrania: **11.02.2014 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sudoł, Maciej Żuczkowski**
Czas nagrania: **cz. I: 49 min, cz. II: 53 min, cz. III: 39, cz. IV: 69, cz. V: 86,**
Format nagrania: **video** **cz. VI: 55, cz. VII: 68**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Mieczysław Chojnacki: Do konspiracji przystąpiłem mając 16 lat, parę dni po skończeniu 16 lat. Opowiadałem... Nie wiem, czy opowiadałem o tym, jak do tego doszło, że mnie ojciec dosyć tak nieoczekiwanie z dnia na dzień, a właściwie z nocy na dzień zaproponował konspirację. Ponieważ z kolegą, Zbigniewem Tomankiem przygotowaliśmy ucieczkę z domu w 1940 roku, gdzieś na wiosnę, w marcu, kwietniu i miałem taką starą mapę Królestwa Polskiego, jeszcze w miarach rosyjskich i wyrysowaliśmy ze Zdlichem trasę, i ewentualnie miejsca zakwaterowania. Chcieliśmy się tam przez Karpaty na Węgry przedostać. Myśleliśmy sobie tak, że nas od razu wezmą do wojska, ale prawdopodobnie to by nas wzięli za czuby i gdzieś do szkoły wsadzili najpierw, żeby skończyć jakieś wykształcenie. I to zostało wykryte. Ojciec wziął laskę i ponieważ mój brat był w to trochę zamieszany, a on był ode mnie młodszy prawie sześć lat, myśmy go w sposób bardzo groźny zaprzysięgli na krzyż, a drugi trzymał bagnet taki z zębami z I wojny światowej i o mała, i on aż drżał cały z wrażenia, i on nam pomagał pewne rzeczy robić. Tam, powiedzmy, gromadzić trochę żywności, słoniny, coś takiego na drogę. I to zostało wykryte. To zostało wykryte, nie będę mówił dokładnie. W każdym razie nastąpiła egzekucja wieczorem i ojciec się wziął za młodszego brata, bo mama dała ojcu wskazówki, żeby wlat jemu parę lasek, to on będzie śpiewał, a ja nie będę. I na niego wypadło. Otrzymał parę razów i ja z litości, on takie oczy zrobił błagalne. Powiedziałem, o co chodzi i ojciec wtedy, wypadł kij, bo był zajadłym piłsudczykiem i patriotą. I chłopak dostał parę kijaszek właściwie za to, co ojciec aprobował. I wszyscy byli poruszeni tym. Dowody były, bo w mojej kurtce znaleźli tę mapę z Królestwa Polskiego, tam i kompas znaleźli harcerski, i trasę, i wszyscy byli bardzo poruszeni. W każdym razie mój brat Bogdan bardzo łatwo przeżył tę egzekucję, bo na drugi dzień dostał trochę cukierków i było w porządku. A w czasie, gdy się ułożyłem do snu, poczułem, że raptem ojciec w nocy przyszedł do mnie, położył mi głowę na piersiach i powiedział, że niepotrzebnie uciekałem za granicę, miałem

zamiar uciekać na Węgry, ponieważ w Polsce jest Wojsko Polskie. To moje uszy wydłużyły się chyba ze dwa razy i pytał się, czy ja chcę do tego wojska należeć. To pewno, że chcę. I w ten sposób zahamował moje zapędy. Raz osiągnął taką pewną korzyść, pewność, że ustabilizuje się tu na miejscu. Po jakimś dniu czy dwóch zaprowadził mnie prawie do sąsiedniego budynku, tak zwanego domu Białka w podwórku na drugie piętro i tam mieszkał pan Tadeusz Węgrowicz, pochodzący z Otwocka, który był takim komendantem pierwszego takiego oddziału, złożonego z 40 ludzi mniej więcej, tej organizacji, o której wspominałem. Ja mam takie przebłyski, nie przebłyski, zamglenia starości, jak ta organizacja...

Tomasz Sudół: Służba Zwycięstwu Polski.

Mieczysław Chojnacki: Służba Zwycięstwu Polski, tak. To była organizacja założona po rozwiązaniu brygady KOP-u, którą dowodził polski generał brygady o niemieckim nazwisku i imieniu, Otto Ruckemann. Ruckemann rozwiązując tę brygadę postawił warunek, że żołnierze i oficerowie mają wymyślić taką nazwę, która by w pierwszych literach miała KOP. I właśnie ta organizacja te litery zawierała, a brygada została pod wytycznym rozwiązana i to był początek właśnie tej organizacji. Ona na Mazowszu była dosyć popularna. Dostyć popularna i dostyć potężna już na wiosnę w 1940 roku.

Tomasz Sudół: Jakie były pana początkowe zadania?

Mieczysław Chojnacki: Więc po przysiędze, mogę nawet powiedzieć nazwiska tych ludzi, pamiętam, którzy byli zaprzysiężeni, ale to jeśli niepotrzebne, to...

Tomasz Sudół: To może pan powiedzieć, może w ogóle pan powiedzieć o tych okolicznościach, jak wyglądało samo zaprzysiężenie?

Mieczysław Chojnacki: No, właśnie, w budynku tym, w tym mieszkaniu mieszkał pan z żoną, Tadeusz Węgrowicz, który pochodził z Otwocka i był urzędnikiem skarbowym. Był w wieku gdzieś 1906-1908 rok, to mógł mieć 30-parę lat. On był najmłodszy z tych, których... Ja byłem, nie licząc mnie, był najmłodszy z tych zaprzysiężonych. Drugim był niejaki pan Jeremiasz Malik, to był pracownik rejentury w Radzyminie, a trzecim był pan Ignacy Pomorski, który był urzędnikiem skarbowym, tak jak i mój ojciec, i Węgrowicz. Tylko był z tych trzech najstarszy, gdzieś około 1902-1904 rok. I mój ojciec odbierał od nas przysięgę, bo już widocznie poprzednio miał do tego prawo. To była przysięga na krzyż i mniej więcej zbliżona treścią do innych przysięg z tego okresu, tylko dostyć krótka. W ten sposób zostałem takim łącznikiem, gońcem, który przynosił pismo „Polska żyje” i różne tam polecenia ustne, bo oni spodziewali się na wiosnę ofensywy francuskiej, więc tutaj szykowali dywersję. Szykowali dywersję i były to takie grupy zbrojne zwane dziesiątkami. Tych dziesiątków tam było, osób ze 40, to cztery dziesiątki tych bojowców. Oni nawet już prowadzili pewne akcje, jak na przykład w Warszawie-Pradze spalili potężne dostyć magazyny, zawierające coś, jakieś umundurowania, jakieś materiały, coś spalili takiego i nawet mieli pewne sukcesy, bo tam w Bzurze utopili jakiegoś gestapowca. W Warszawie też działali. Tak że partyzantka właściwie to się zaczęła już na wiosnę w 1940 roku, nawet wcześniej, bo niektóre oddziały zbrojne przechodziły wprost do lasu i tam właśnie na pogranicy

radzyńskiego i wyszkowskiego to był oddział, nie pamiętam nazwiska tego porucznika, pilota, który zorganizował kilkuset żołnierzy i działali gdzieś do Bożego Narodzenia następnego roku. Potem przeszli do konspiracji w rejonie Wyszkowa. „Polska żyje” przychodziła, można powiedzieć, raz mniej więcej na 10 dni i to był specjalny taki punkt odbioru dla mnie tej prasy. To była rodzina Matuszewskich, złożona z trojga osób: pani Matuszewskiej Janiny, męża Oleksego, który był ślusarzem, w podwórku miał taki warsztat i z córki, tam chyba rok ode mnie starszej Barbary. Te osoby już nie żyją. Tam przynosili też gońcy z Warszawy to pismo „Polska żyje”. Przynosili chyba gdzieś przeszło w 100 albo 200 egzemplarzach i tam był rozdział. I ja pobierałem z tego miejsca około 30-40 egzemplarzy, które roznosiłem po mieście w Radzyminie. W kilka punktów, po parę sztuk tak mniej więcej, po kilka sztuk, po 5-6 sztuk.

Tomasz Sudół: A w czym je pan przynosił?

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Tomasz Sudół: A w czym je pan przynosił? W ręku czy jakoś pan je chował, czy...

Mieczysław Chojnacki: Nie, nie, po prostu tu gdzieś miałem schowane za pas i to był, powiedzmy, było lato. To tam gdzieś za koszulę się schowało i szło się na jeden punkt. Jeden punkt to był u takiego kowala Michalskiego, w Radzyminie to się dzielnica nazywała na wiosce Radzymin. Potem drugi punkt był u właściciela cegielni, Kotowskiego, u jego rodziny o nazwisku Amejko. I ja tam krępowiałem się przychodzić, bo do mnie pierwszy raz w życiu tam mówili „pan” i starali się mnie poczęstować herbatą i traktowali z wielką taką powagą, niż byłem wart tego, bo może i wąsy już mi się tam puszczały, ale byłem młokosem. Potem jeszcze chodziłem do takiego inżyniera, Roszkowskiego, który był geodetą. Tam też był dla mnie punkt odbioru, przekazywania tej prasy. Nie wiem, do tych którzy byli zaprzysiężeni razem ze mną, tych trzech panów, to było wszystko. To było wszystko. Tak mniej więcej pięć, sześć, siedem punktów, gdzie to roznosiłem. Ale oprócz tego różne zawiadomienia ustne albo na piśmie też były do przekazywania. I jako ciekawostkę to podam, że u tych kowali Michalskich, bo to było dwóch braci, pracowało, to pod kowadłem był magazyn broni. Było to dosyć sprytnie, bo kowadło było bardzo ciężkie i tam potem w czasie akcji „Burza” wydobywano broń i amunicję jeszcze wrześnieową. To by było, ta moja praca jako takiego gońca. W jaki sposób ja otrzymywałem sygnały? Mianowicie to był budynek narożny i miał jakby dwa fronty. Ten budynek jeszcze do dziś dnia istnieje i w jednym z okien były na firance motyle takie sztuczne przyczepione dwa albo... I stało tam ze trzy, ze cztery donice z roślinami. Jak były motyle na równej wysokości, to nie wchodziłem, a jak któryś był niżej lub wyżej, to wtedy wchodziłem. I tam przechodziłem tak mniej więcej jak tydzień minął, to już miałem to na oku i tamtędy przeszedłem, to nie było podejrzane. Warsztat ślusarski, w podwórku ludzie chodzą i tak dalej. Albo były przesunięte doniczki w jeden róg, tak jakby ktoś sprzątał tam, kurze odcinał. Wtedy wchodziłem i zabierałem to. To były momenty, było to już przygotowane przez panią Matuszewską. W ten sposób była ta moja praca zorganizowana. Właściwie gdzieś na przełomie 1941 i 1942 roku w organizacji, tej KOP, nastąpiła potężna wsypa. Tam jeden zmarł z tych pierwszych komendantów. Nie bardzo sobie przypominam to nazwisko, chociaż w książeczce, którą napisałem, to jeszcze pamiętałem. Teraz nie bardzo. Więc zastąpił go drugi, który został też aresztowany, ale uciekł z więzienia warszawskiego. Chyba to był Pawiak w jakiś sposób. Ale w tym czasie ta jego organizacja przeszła do ZWZ-u. I wtedy już był ZWZ. To musiał być rok 1942. Właściwie dalszy ciąg miał duży wpływ w konspiracji, nauka. W Radzyminie

u takiej młodej dosyć nauczycielki, pani Janiny Dzienisiewicz, mogła mieć wtedy niespełna 30 lat, pobierałem naukę trzeciej i czwartej klasy gimnazjalnej. I gdzieś w półtora roku podstawowe skończyłem przedmioty, prócz śpiewu, gimnastyki czy tam rysunków bo wiadomo, tego nie uczyli. A tu ta polonistka to doskonale mnie przygotowała z matematyki nawet, była wszechstronnie taka uzdolniona osoba. Religii też nie było u niej. W każdym razie w 1941 roku, latem, pojechałem z nią do Warszawy i na takim dość południowym Mokotowie już można powiedzieć, miasto się kończyło, zwarta zabudowa, w owym czasie i była taka szkoła ogrodnicza, i pod szyldem tej szkoły ogrodniczej, niejaki profesor Stanisław Ostrowski, nauczyciel gimnazjalny, był dyrektorem tej szkoły. I pod szyldem tej szkoły uczono między innymi takich przedmiotowych ogrodniczych, ale jednocześnie był tam kurs pierwszej klasy licealnej. I to było gimnazjum matematyczno-fizyczne. Moje przyjęcie, mój egzamin wyglądał w ten sposób, że pani Janina Dzienisiewicz, jak mnie przedstawiła profesorowi Ostrowskiemu, to mnie tak zmierzył od góry do dołu i powiedział tak: „Jak się przyjmie w pierwszej klasie licealnej, to się przyjmie bez egzaminu, a jak nie, to go weźmiemy, cofniemy o jeden rok i sprawa załatwiona”. To będzie zależało od tego. I jakoś się tam przyjąłem na trójkach może z szynami, bo to było dwa minusy, to jeszcze był stopień możliwy. Jakoś tam z jednych przedmiotów może gorzej wychodziłem, innych to był brak, odczuwałem silnie podręczników, bo nawet koledzy z Warszawy dosyć życzliwi, niezbyt chętnie pożyczali jakąś brakującą książkę, ponieważ jak to było cztery razy w tygodniu, to jak pożyczyci mnie książkę, to ja trzeciego dnia oddawałem, więc musiałem jakoś na zapas niektóre przedmioty sobie jakoś notować, tak, żeby jakoś tam wyjść nie z dwójką. Ale ogólnie jakoś można było żyć. Tylko że było trudniej dużo. Więc pierwszą klasę licealną skończyłem. Nauczycielami byli profesorowie warszawscy, na przykład profesor Kamiński gdzieś w wieku blisko emerytalnym, którego nazywaliśmy „Jezusek”, bo był szczupły, miał szczupłą twarz i taką bródkę, jakby Chrystus, przyszyżoną. To był bardzo przyjemny facet i dosyć tolerancyjny, ale wymagał jednak tej matematyki, a jednocześnie fizykę wykładał. Polonistą był z Alei Niepodległości i on przychodził do lokalu konspiracyjnego jednego z kolegów. To było w takich częściach Warszawy, jak na przykład blisko takiego placu, co nazywają na południu Warszawy, Na Rozdrożu, tam gdzieś ogród botaniczny. To tam był lokal u takiej rodziny Muchin. On był jeszcze prawosławny, ten chłopiec, i miał, przygotowywał się do przejścia na katolicyzm. I już był w wieku gdzieś 18 lat, w tym czasie w drugiej klasie licealnej czy pierwszej klasie licealnej. Na Mokotowie w kilku miejscach, między innymi też przez pewien czas uczyliśmy się u rodziny Madejskich, której ojciec był w lotnictwie i był w Wielkiej Brytanii. To tak można było coś się dowiedzieć. Później już, może parę lat temu, dowiedziałem się z jednej książki, że on nawet latał nad Warszawą i Radzyminem. Nad Radzyminem miał tam parę zrzutów i był w załodze tym, tak zwanym z angielska „dispoterem”, czyli tym, który zrzucał ładunki. Tak że on rodzinę do pewnego stopnia odwiedzał swoją, tylko że o tym nie wiedziała. Pierwszy raz w życiu mnie spotkała taka towarzyska niespodzianka, jak tam wszedłem do państwa Madejskich, to była kobieta dosyć młoda, ale już chłopaki byli po 16-18 lat, dwóch synów, tacy dosyć wysportowani i wchodząc, pocałowałem ją w rękę, taki był powszechny zwyczaj. I ta pani Madejska spytała mnie o imię i mówi do mnie w ten sposób: „Panie Mieczysławie, umówmy się w ten sposób, że będziemy przez podanie ręki się witali i żegnali”. I nie ja byłem odosobniony, bo jak przychodzili inni, to taką samą naukę dostawali. Więc byli ludzie jednakże już nieco inni, nieco inne mieli na pewne sprawy zapatrywania.

Tomasz Sudół: A jakie przedmioty pan się uczył tam?

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Tomasz Sudół: Jakich przedmiotów pan się uczył tam?

Mieczysław Chojnacki: Wszystkich przedmiotów, plus takich rysunków, śpiewu i nawet religii się uczyliśmy w tych klasach licealnych. Tylko nie powiem porządku, jeśli chodzi o religię. Mianowicie w jednej klasie uczyliśmy się dogmatyki, a w drugiej klasie etyki chrześcijańskiej. I to uczył ksiądz Dziewanowski, Dominik Dziewanowski, w wieku, tak można powiedzieć, emerytalnym. Dostyc takiej budowy wysokiej, człowiek bardzo pogodny i który zawsze w czasie tam godzinnego wykładu to robił 5-minutową przerwę i opowiadał śmieszne, to znaczy zabawne historie. Zwłaszcza o niewiastach. Więc to był tak zwany u niego lufcik. Pochodził ze znanej rodziny Dziewanowskich, tych, co zdobywali Somosierrę i zawsze to podkreślał. To była rodzina ziemiańska z powiatu płockiego.

Tomasz Sudół: A zajęcia były w którym... One się odbywały w tym mieszkaniu u państwa Madejskich, tak?

Mieczysław Chojnacki: Nie tylko Madejskich, ale w mieszkaniu profesora Wróblewskiego, który historii uczył w mieszkaniu, profesorki, w tej chwili nie przypominam sobie nazwiska, która uczyła chemii, to u profesorów Rudzińskich, nie wiem, może się mylę. W każdym razie to było małżeństwo. On uczył polskiego języka, a ona niemieckiego. I kiedyś się tam nie bardzo przyłożyłem do pewnej lekcji niemieckiego, była niezadowolona i tam nie postawiła mi żadnego stopnia, i mówi: „Panu ten język niemiecki coś tak słabo idzie”. Wtedy odpowiedziałem, że Napoleon też słaby był z niemieckiego i dwóję miał. I wtedy się roześmiała, i tam jakoś mnie łagodnie potraktowała. Ona miała poczucie humoru. A profesor... O, Brodzikowski się nazywał. Brodzikowski, ona Brodzikowska. Mieli syna, „Wuko” na niego mówili, ale co to było za imię, nie wiem. To był aparat niezły. Bo to był jedynek taki, więc wypieszczony dosyć. Przepraszam, może ktoś jest jedynakiem, ale nie piję do nikogo.

Tomasz Sudół: A długo pan, że tak powiem, się uczył? Bo pan w Warszawie mieszkał czy pan dojeżdżał?

Mieczysław Chojnacki: Nie, z Radzymina dojeżdżałem. To była ciężka sprawa, bo wyjeżdżałem w południe. Tam coś zjadłem, a obiad i kolację to miałem po powrocie. To był zwykle żurek, ziemniaki, wtedy się patrzyło, żeby więcej było ziemniaków albo fasoli w tym. Wyżywienie było takie mało urozmaicone tam. Powiedzmy, ziemniaczanka zupa czy jakaś szczawiowa. Jak najtaniej ludność w miastach starała się żyć. Szczególnie ta taka urzędnicza warstwa czy... No, tak właściwie. Oprócz Madejskich, gdzie były spotkania, to były w kilku miejscach. To się zmieniało. Raz u takich Kunikowskich na ulicy Chmielnej, gdzieś w pobliżu Marszałkowskiej, bardzo blisko Marszałkowskiej. I tam przez pewien czas jakieś dwa miesiące zawieszono spotkania, bo tam coś nie w porządku, Niemcy coś węszyli. I potem już nie wróciliśmy do tego punktu zbornego, tego lokalu, tylko byliśmy w innych lokalach, ale to było na Jaworzyńskiej, tam sporo Niemców mieszkało. Ten kolega nazywał się Sękowski i to był taki długal wysoki, o długich rękach i jak czekaliśmy na nauczycieli, to tam były dwie pary rękawic bokserskich? I ten komar to mi kiedyś nadokuczał, bo dobieraliśmy się parami, było nas tam chyba ze trzy pary, boksowaliśmy się. I był taki moment, że mało „Jezusek” nie dostał, bo wszedł niespodziewanie, ale to z humorem przyjął i walka została przerwana. A ten Pająk, długal, to mi nadokuczał, że mi tu w głowie jak wróciłem, to mózg mnie bolał. On ciągle mnie tu uderzał, miał długie ręce, ja nie potrafiłem coś do niego dojść, bo bym go może znokautował, ale on był za cwany na to. Więc takie obrazki. Jak się

czekało, to musieliśmy czymś być zatrudnieni.

Tomasz Sudół: A jak duże były te klasy?

Mieczysław Chojnacki: Gdzieś od sześciu do ośmiu.

Tomasz Sudół: I wszyscy mniej więcej w pana wieku, tak?

Mieczysław Chojnacki: Tak, tylko jeden wiekiem się cokolwiek różnił, był może 3-4 lata starszy od nas i z nim się tak trochę zbratałem, bo on coś węszył i Warszawiacy byli bardzo tajemniczy. Nie pytali w ogóle o konspirację i o konspiracji nie było ani słowa, między nauczycielami a nami i między nami też. A ten kolega... Widzi pan, bym musiał pomyśleć, jak on się nazywał. To był kadetem lwowskim, potem się okazało. I tak sobie przypadliśmy do gustu, on mieszkał w swoim czasie pod koniec już drugiej klasy licealnej, na Pradze pod 36, na Targowej. I ja tam parę razy go odwiedziłem, bo szedłem w tym samym kierunku do kolejki Mareckiej, która jak Dworzec Wileński, miała odjazd do Marek i Radzimina. I ta kolejka gdzieś około godziny docierała do Warszawy. I z Warszawy do Radzimina. Więc to zajmowało sporo czasu. Więc od niego już wtedy byłem na podchorążówce w AK. I od niego otrzymałem, bo on wyparował z Warszawy, i nie wiadomo, co się stało, i mnie uprzedzał, że jak go nie będzie przez dwa tygodnie, to żeby tu nie przychodzić, bo go nie spotkam, a niepotrzebnie się będę tłuł w tym podwórku. I mi podarował trzy części regulaminu piechoty, wtedy.

Tomasz Sudół: A jeszcze mi pan powie, jeszcze wróćmy do tej tajnej edukacji. Czy zawsze skład klas był taki sam na wszystkich zajęciach, czy to się zmieniało?

Mieczysław Chojnacki: Na ogół tak. Zmieniał się bardzo mało. Czasem coś, ale właściwa grupa docierała do końca. Było takich dwóch, nawet trzech matematyków, można powiedzieć, nadzwyczaj uzdolnionych. Więc najlepszym matematykiem między nami to był Janek Madejski, syn tego pilota. On maturę z matematyki napisał w 18 minut.

Tomasz Sudół: Dobry.

Mieczysław Chojnacki: Dobry był?

Tomasz Sudół: No, był.

Mieczysław Chojnacki: Potem drugi to był niejaki Otwinowski. To nie był nieco starszy od nas facet, może o 2-3 lata, to on 30, wszystko to pamiętam, jakieś 31 minut pisał maturę. Potem trzeci z kolei to był taki o dziwnym nazwisku, Wolfram. Taki okularnik, dosyć szczupły. Ciągłe zamyślony. On koło godziny pisał. A reszta hołoty to pisała dłużej. Ja na przykład skończyłem w dwóch trzecich to swoje zadanie i dostałem jakiś tam możliwy stopień, bo większość wykonałem tego, ale musiałem ciężko myśleć, aż mi z nosa pot kapał.

Tomasz Sudół: Trzy lata pan chodził na tę szkołę i maturę zdał, tak?

Mieczysław Chojnacki: To znaczy do Warszawy chodziłem tylko do pierwszej i drugiej licealnej, bo trzecią i czwartą kończyłem w Radzyminie u pani Dziensiewicz. Tylko ja sam jeden miałem to szczęście, że cała klasa to byłem ja. I co ciekawe, że jednak to społeczeństwo było bardzo zgrane, bo jak ojciec się przyszedł pytać, co będzie mógł płacić, to ona się spytała, przy mnie to się odbywało, spytała się, gdzie pracuje. Ojciec mówi, że jest urzędnikiem skarbowym. To ona wiedziała mniej więcej, ile zarabia. To zażądała taką cenę, że mogła kupić za to kilo słońcy. Znaczą gdzieś koło 30-35 złotych. To taka była symboliczna zapłata. Ale potem dowiedziałem się, że na przykład taki dosyć zamożny rolnik chodził, mój taki kolega dosyć, ale dosyć krótko, to on o wiele więcej płacił. Oni wtedy troszeczkę odżyli. Byli nawet tacy rolnicy na targu, że mówili: „A my na te czasy czekali”. Ale jak krówka została zabrana za darmo, za parę litrów wody, a jak chłopaka wywieźli do Niemiec na roboty, „O, to niedobrze. To trzeba myśleć o czymś innym”. Chociaż nie partyzantka, a BCh powstało mniej więcej w tym czasie, co AK.

Tomasz Sudół: A może pan powiedzieć, jak wyglądała ta pana... Bo pan zdawał maturę w konspiracji, tak?

Mieczysław Chojnacki: No, tak, w konspiracji. To była połowa 1943 roku. Ale oprócz tego od 1942 roku przyjęli mnie na podchorążówkę.

Tomasz Sudół: Ale to podchorążówka za chwilę. Najpierw matura. Jakby pan powiedział o maturze, a zaraz cofniemy się do tej podchorążówki, bo to też jest bardzo ważne.

Mieczysław Chojnacki: To ja opowiedziałem o maturze. Więc jak maturę skończyłem jednocześnie, jednego miesiąca był egzamin z matury i egzamin z podchorążówki.

Tomasz Sudół: A niech mi pan jeszcze powie, w którym miejscu...

Mieczysław Chojnacki: W 1943 roku ja kończyłem maturę i podchorążówkę. Miałem 19 lat i tam po zdaniu egzaminu dostaliśmy wszyscy z tego kursu, czterech nas było, dostaliśmy starszych szeregowych. A potem na drugi rok była taka coś jakby praktyka i po tej praktyce o stopień wyżej, tak że ja w tej chwili to proszę do mnie nie mówić „Panie Mieczysławie”, tylko „Panie kapralu podchorąży”.

Tomasz Sudół: Dobrze. Panie kapralu podchorąży, może być. To ja się jeszcze podpytam, panie kapralu...

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Tomasz Sudół: O maturę. Czy zdawał pan ją w Radzyminie, czy w Warszawie?

Mieczysław Chojnacki: W Warszawie. Tam, gdzie pobierałem nauki. W Warszawie.

Tomasz Sudół: Czyli tam u tych Madejskich.

Mieczysław Chojnacki: U tych samych profesorów. Oni nas dobrze znali. Oni nas dobrze znali. Szczególnie „Jezusek”. To był specjalista. Ale to był dobry człowiek.

Tomasz Sudół: No, dobrze. To panie kapralu podchorąży, w takim razie kontynuując, zapytam o tę podchorążówkę, bo został pan skierowany przez kogo?

Mieczysław Chojnacki: Droga była łatwa, bo mój ojciec był urzędnikiem skarbowym, a w urzędzie skarbowym na 30-parę osób, to się ukrywało ośmiu albo dziewięciu oficerów. Ukrywało się, to znaczy, że tak bardzo Niemcy nie wiedzieli i to wszyscy trzymali tak zęby, właściwie języki za zębami, że to nie wychodziło, nie wychodziło nigdzie. Nie wychodziło nigdzie, bo skoro przez całą okupację nikogo w urzędzie nie aresztowali, chociaż jednego zastrzelono.

Tomasz Sudół: I jak to wyglądało? Dostał pan, pana ojciec po prostu skierował do tego?

Mieczysław Chojnacki: Więc, w jaki sposób mnie przyjęto? Nie, tutaj już ojciec nie miał nic wspólnego, tylko jak powstała AK, to od razu zaczęli myśleć o szkoleniu nieprzeszkolonych roczników. I od razu zaczęły powstawać szkoły. Szkoła partyzanta, to znaczy szeregowcy. Szkoła podoficerska, potem do dzisiaj nie mogę rozgryźć, szkoła niższych dowódców. I podchorążówka. Więc znałem urzędników skarbowych. I ten, kto mi zaproponował, to w drużynie, w plutonie jego byłem, miałem bardzo ważną funkcję, bo najdłuższą w nazwie. Byłem gościem bojowym dowódcy plutonu strzeleckiego. Żadnego dłuższego tytułu w plutonie nie było. I on znał pewnych ludzi, więc zaproponował mi, że jest klasa podchorążych. I przewidziany jest jeden z moich kolegów o nazwisku Kornacki Feliks, a pseudonim „Tanek”, bo on marzył o czołgach, a musiał piechotą chodzić. Potem niejaki Szupe, urodzony na Targówku, ale jego ojciec był przeniesiony do stacyjki końcowej w Radzyminie, tej kolejki Mareckiej. Więc tam zamieszkali. Mieli swój domek tam. To był Szupe Ryszard, pseudonim „Bartosz”. I trzeci był Wojciechowski Jerzy, pseudonim „Jur”. To był syn rolnika. I on powiedział o nich, „Jura” nie znałem, z widzenia tylko, spotkałem się, bo lokal wykładowy miał być w mieszkaniu moich rodziców, dla nas czterech. Klasa składała się z czterech.

Tomasz Sudół: A jak wyglądały zajęcia?

Mieczysław Chojnacki: Jak wyglądały zajęcia, za instruktora dostaliśmy żołnierza po bitwie pod Kutnem, który był już podporucznikiem. Był z 1915 roku i nazywał się Henryk Kucner. To był taki niepozorny blondynek, troszkę tak jakby przygarbiony i on był znakomitym wychowawcą żołnierzy i wykładowcą, moim zdaniem, bez zarzutu. Jak podjął jakiś temat, to go tak wałkował żebyśmy go musieli umieć jak pacierz. Jak ktoś coś tam nie tak, to musiał robić przysady i już. To naprawdę była taka szkoła poznańska. To był poznaniak zamieszkały w Wolsztynie. Taka graniczna kiedyś miejscowość niewielka, 8-, 10-tysięczna. To był urzędnik skarbowy. Urzędnik skarbowy. I ten dowódca plutonu też był urzędnikiem skarbowym. A pochodził z Dyneburga, ale potem przeniósł się z Łotwy i pracował w urzędzie skarbowym wileńskim i na skutek tego, że moskale nadchodzili, raptem razem z żoną jakimś cudem byli w Warszawie, potem zyskali miejsce takie stałego zamieszkania w Radzyminie. Różne były dzieje ludzi. I o nim można też dużo

opowiadać. W każdym razie było nas czterech, ale początkowo to w Radzyminie tej klasy nie było, i tego „Tanka”, i mnie skierowano na wieś, Załubice Nowe, i scharakteryzowano drogę, i dojście tam. Mianowicie takim znakiem rozpoznawczym był na podwórku piorunochron, na przeciwko drogi leśnej, się wychodziło z lasu i od razu naprzeciwko tego gospodarstwa. Pewnego dnia, umówionego, poszliśmy tam. Trzeba było iść po piaszczystej drodze 9 kilometrów. To trwało jakieś 1,5 godziny, to byliśmy młodzi, to trzeba było tak popędzać trochę, podbiegać, bo nikt nie widział. Teren częściowo był zalesiony. Wyszliśmy prawidłowo i się okazało, że to było takie zadanie dosyć łatwe, bo prosto na to gospodarstwo, a wchodząc do gospodarstwa ten „Tanek” miał znajomego, syna gospodarza, jak się okazało. On się nazywał Wyszyński i miał pseudonim „Hieronim”, i to był chłopak starszy ode mnie o jakieś cztery lata. Dobrze zbudowany, mocny, taki jak orzech włoski twardy, ze wsi. I on kończył politechnikę. Nie politechnikę, a język polski w Warszawie. I tam miał trzech kolegów pochodzących z ulicy Bednarskiej, co doszedłem przypadkowo, to jest ciekawa historia, jak się ci trzej nazywali, dopiero 15 lat temu.

Tomasz Sudół: Ale to byli pana pierwsi koledzy z podchorążówki.

Mieczysław Chojnacki: To byli pierwsi koledzy, ale tylko znajomość trwała ze dwa miesiące, ponieważ nas wycofano, bo Kucner zorganizował te z klasy też czterech. A tam jak się okazało, to było nas sześciu. Więc uznali widocznie, że to za dużo i nas wycofali, bo tak że do tego Wyszyńskiego przyjeżdżało trzech facetów z Warszawy. Jeszcze parę lat temu nie znałem ich nazwisk, ale poznałem. Już wszyscy nie żyli. Z córką jednego z nich, ale to jest dalsza już historia, spotkałem się kilka razy. Mieszka w Warszawie w tym samym mieszkaniu, co rodzice, co dziadkowie, co pradiadkowie.

Tomasz Sudół: Jak wyglądały te zajęcia? To były jakieś...

Mieczysław Chojnacki: Jak wyglądały te zajęcia?

Tomasz Sudół: I jakie były w ogóle przedmioty?

Mieczysław Chojnacki: Było dużo przedmiotów. Przede wszystkim była to organizacja armii, bo trzeba było znać organizację armii, szczególnie piechoty. Szczególnie piechoty. Od drużyny przez pluton, kompanię, to szczegółowo dosyć. Batalion, pułk, dywizję tam czy grupę armii to już tak pobieżnie, bo generałami nie zostaliśmy, byliśmy za młodzi i za głupi na to, za mało wykształceni. Ale drużyna i pluton to trzeba było znać, raz, organizację, funkcję, jakie były w drużynie i w plutonie, jakie stopnie obowiązywały w armii regularnej na poszczególnych stanowiskach i trzeba było znać, jeśli chodzi o wyszkolenie bojowe, rozkazodawstwo, bo tam się przepraszam, jeśli takie będzie trochę słowo te, ze starszych takich podoficerów, którzy to zapomnieli rozkazodawstwo, to troszkę się podśmiewali ci młodzi, bo tam podobno któryś to wydał taki rozkaz, zapomniał komendy „Stój”, tak że wydał komendę „Stójta takie syny, stójta. Tak trochę żartowano sobie z tych takich bardzo starych oficerów, podoficerów z I wojny światowej.

Tomasz Sudół: A jakaś nauka o broni była?

Mieczysław Chojnacki: Była, tak, organizacja armii, potem też jakie stopnie tam były w tych przewidziane, potem było wyszkolenie bojowe. To były szyki zwarte, szyki luźne, zależnie od ostrzału, czy to karabiny maszynowe, czy artyleryjskie, czy coś, to się szyki zmieniały i tak dalej, to trzeba było znać bardzo dobrze, bo to od tego zależały straty ludzkie. Od szyków, od przyjmowania odpowiednich szyków przy odpowiednim ostrzale. I przy zbliżaniu się do nieprzyjaciela, więc to było bardzo, bardzo, to rozkazodawstwo, takie bojowe, bardzo wymagający byli i jak się ktoś, coś pomylił, to musiał długo pracować, żeby u Doliwy odrobił to, co stracił. Potem było terenoznawstwo. Terenoznawstwo. Ubezpieczanie, to wyszkolenie bojowe. I bronioznawstwo. Broń była różnorodna w oddziałach partyzanckich, tak że kiedyś policzyłem, to krótkich broni, takich pistoletów to znałem ze 23 typy.

Tomasz Sudół: A na przykład czy ten oficer, który to prowadził, przynosił tę...

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Tomasz Sudół: Ten oficer, który prowadził to szkolenie, przynosił broń? Tam pokazywał wam jak?

Mieczysław Chojnacki: Nie, do mieszkania rodziców broni nie przynosił, tylko najpierw jak musztrę szkolono, zapomniałem, musztrę szkolono, więc „Tanek”, gospodarski syn, tam mieli taką zarośniętą łąkę i były krzaki grubości pewnej, podobierał cztery takie gałęzie, obrobił je, namoczył dobrze, żeby miały po 5 kilogramów i tym ćwiczyliśmy musztrę, tymi karabinami. Nie było karabinów prawdziwych, tylko musztrę robiliśmy kijami. I to była na skraju jego lasu, w piachu wykopana taka jama, troszkę umocniona i te kije tam się wsadzało. Jak było potrzeba, to przychodził Doliwa i nas gonił, biegaliśmy z tymi kijami tam po tym lesie, ćwiczyliśmy natarcie, ćwiczyliśmy obronę, ćwiczyliśmy takie wyszkolenie bojowe.

Tomasz Sudół: Ta podchorążówka trwała ponad rok czasu czy koło roku czasu, tak?

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Tomasz Sudół: Jak długo trwała ta podchorążówka?

Mieczysław Chojnacki: Około roku.

Tomasz Sudół: A jak często były spotkania?

Mieczysław Chojnacki: Spotkania były pewnie jakieś cztery razy w tygodniu w mieszkaniu moich rodziców.

Tomasz Sudół: A długo? Jak długo trwały takie spotkania?

Mieczysław Chojnacki: Spotkania, po pracy to jak Doliwa musiał zjeść obiad po 15:00, to gdzieś koło czwartej przychodził do nas, a w domu tym była restauracja na parterze i wyjścia były z dwóch stron, kręcili się ludzie. Powyżej

mieszkał folksdojcz, który chodził z hakenkrojcem. I nie dowiedział się. A czasem było nawet dosyć głośno, bo jak wchodził Doliwa, to trzeba było wydać odpowiednie komendy, przede wszystkim uwaga, powstań i dyżurny składał meldunek, że wszyscy obecni i wtedy on przechodził tam przed nami czterema, i mówił: „Czołem, żołnierze!”. I trzeba było odpowiedzieć. Ściszym głosem, ale trzeba było odpowiedzieć. Potem padała komenda: „Na miejsca siad!” i wtedy musieliśmy moment być tak, i ręce trzymać tak. I patrzeć, co mistrzunio powie. Zwykle zaczynało się od tego, że wskazał palcem: „Wy!”. Trzeba było odpowiedzieć pseudonim. Albo jak powiedział pseudonim, to trzeba było odpowiedzieć „Jestem”. Bo jak nie odpowiedział, to: „Jazda, już, siadaj!”. I męczył człowieka. Można powiedzieć, że Doliwa był bez sumienia, ale był fajny dosyć. I proszę was, panowie, potem trzeba było bez ruchu siedzieć i odpowiadać. Trzeba było przy odpowiedzi na ogół wstawać. To zależało, czy my zapamiętaliśmy pewne rzeczy. Pokazywał palcem, mówiło się pseudonim i odpowiedzcie na to i na to. To trzeba było powtórzyć to, co... To a to powiedzieć, bo żołnierz, otrzymując rozkaz, musiał go powtórzyć. I to był taki nawyk automatyczny, że po pewnym czasie to mimo woli się powtarzało to, co on powiedział. Nawyk taki. Tak jak przy zabezpieczaniu czy odbezpieczaniu broni. To musiał być nawyk automatyczny, że ten kurek się przekręcało inaczej trochę jednym palcem i już. Rygor był taki, że na jego kursie młodszych dowódców, który prowadziłem, bo we trzech z nas prowadziło kursy po roku młodszych dowódców, a oprócz tego szkolenie drużyn mieliśmy i to była ta praktyka, potem co dalej, stopień więcej. Tak jak w podchorążówce też normalnie był ten pierwszy kurs a potem była praktyka już wśród żołnierzy. Dostawał każdy drużynę i ją szkolił. I u nas było coś podobnie, tylko że tej drużyny nie zbieraliśmy co dzień, tylko raczej sekcjami i to się szkoliło ich po stodółach, po laskach tam podradzymińskich. W ciągu jak była pogoda, czy zima, czy coś takiego, to były i ćwiczenia nocne, było i czołganie się po śniegu, i rozmaite historie. Tak że nawet jeden z kolegów się przeziębził i potem poszedł patrzeć na nas z góry. Zapalenie płuc.

Tomasz Sudół: Jak były właśnie zajęcia w podchorążówce też terenowe, czy tylko...

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Tomasz Sudół: Były zajęcia takie terenowe, jak pan mówił?

Mieczysław Chojnacki: Tak, były zajęcia na miejscu, w domu moich rodziców. Taka teoria, co można było sobie... A już jeśli chodzi o wyszkolenie bojowe, to często się odbywało właśnie w terenie. Chciałem jeszcze na chwilę wrócić do tego, jak nas wycofano stamtąd i myśmy, nie wiem, czy mówiłem, nie znali, nie pamiętali nawet pseudonimów tych Warszawiaków, a już nie mówiąc o nazwiskach. I musieliśmy się rozstać z tym naszym sierżantem, co nas dosyć uprzejmie przyjął, bo nas żałował, bo miał nas w pamięci już jako takich żołnierzy dosyć wiedzających, jak się zachować. Na ogół byliśmy zadowoleni, że to było blisko, że nie trzeba było drałować 10 kilometrów w jedną stronę. Ale Warszawiacy ukończyli tam tę podchorążówkę i końcowy egzamin odbywał się ich do południa, do obiadu, w mieszkaniu moich rodziców, w budynku u Gorączkowskiego w Radzyminie naprzeciwko Dębu Wolności, nad tą restauracją, „Pod Wróblem” miała nazwę. W każdym razie to w ten sposób było zorganizowane.

Tomasz Sudół: A na przykład kwestia dostępu do broni, czy jakież...

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Tomasz Sudół: Czy takie na przykład wyszkolenie strzeleckie też było? Jakież takie...

Mieczysław Chojnacki: Owszem, ale wyszkolenie strzeleckie to było dosyć słabe, chociaż tam każdy po parę razy wystrzelił. Przede wszystkim wymagali zapamiętania, rozkładania, składania broni, to powiem, to się odbywało już w terenie ubezpieczonym przez oddział specjalny. To znaczy przez czynną dywersję. To w każdym ośrodku, ośrodek to było parę gmin lub małych miast, takich ośrodków w obwodzie radzymskim początkowo trzy, potem pięć. W każdym takim ośrodku był pluton dywersyjny. On był do różnych zadań przeznaczony. Między innymi nie cały pluton, a powiedzmy, jego sekcja czy jego drużyna chroniła ćwiczenia ludzi bez broni, bo były wypadki, że jak wpadli na taką nieubezpieczoną przez uzbrojonych, to były wypadki wymordowania wszystkich przez Niemców. Może nie liczne, ale jednakże były i potem te ćwiczące nieuzbrojone oddziały ubezpieczano.

Tomasz Sudół: A pana funkcjonowanie w tym...

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Tomasz Sudół: A już po zakończeniu... Jak wygląda... Może inaczej, jak wyglądał egzamin w podchorążówce? Egzamin.

Mieczysław Chojnacki: Egzamin? Więc na egzamin u nas przyjechał, jakby to powiedzieć, dowódca podokręgu. Mianowicie podpułkownik Suszczyński, który został potem takim tytularnym generałem, już pod koniec konspiracji. To on przyjechał. Potem taki kapitan artylerii z urzędu skarbowego, Dasiewicz. Może opowiadałem o tym, jak jego rozpracowano przez mojego ojca i przez woźnego z urzędu skarbowego? Nie opowiadałem tego?

Tomasz Sudół: Nie.

Mieczysław Chojnacki: Był bardzo nieostrożny jeszcze ten pan, ale potem dostał szkołę odpowiednią i już się przyuczył konspiracji. To był drugi, potem był nasz wykładowca, Kucner, i jeszcze jeden oficer, chyba dowódca placówki, to syn właściciela wtedy był, który wrócił z niewoli ze względu na stan zdrowia, Gorączkowski Jan Władysław, pseudonim „Szczupak”. To był dowódca placówki radzymskiej. I on też na tym egzaminie był, czyli było czterech, powiedzmy, oficerów i nas czterech do egzaminu. Najpierw byli ci ze wsi, tych trzech Warszawiaków nieznanymi mi, ale już obecnie znanych i ten Wyszyński, ich kolega, który potem znalazł się, był aresztowany, przeżył to jakoś. W końcu znalazł się w Ameryce i tam umarł parę lat temu. Te dwa kursy miały egzaminy. Egzamin nasz trwał parę godzin, taki teoretyczny i tamtych też. Tamtych też. Ale nas zwolniono z egzaminu praktycznego.

Tomasz Sudół: A dlaczego?

Mieczysław Chojnacki: Tego nie wiem. Prawdopodobnie na dobre wyniki z tego, bo jednak trzeba powiedzieć,

że nie było takich błędnych odpowiedzi. Nawet taka była dyskusja między „Bartoszem” a tym artylerzystą, tym kapitanem Dasiewiczem, bo tam było pewne zagadnienie, jaki rozkaz byście wydali w takiej a w takiej sytuacji. I on odpowiedział bez namysłu, jaki rozkaz by wydał, już nie pamiętam jaki. W każdym razie był poprawny. A ten oficer mówi: „Nie, ja bym wydał taki rozkaz”. A „Bartosz” mu na to odpowiedział: „Tak, ale mój lepszy rozkaz jest, ponieważ byłem pierwszy w odpowiedzi”. To znaczy, że rozkaz wydany bez wahania jest nawet, jeśli gorszy, to lepsze, uważali, rezultaty może osiągnąć. I ten mu przyznał rację. Wszyscy się, ci trzej oficerowie, roześmieli z tego i przyznali rację Szupemu, to znaczy „Bartoszewi”.

Tomasz Sudół: A niech pan powie, czy oprócz podchorążówki, bo to... Jaką dalej pan działalność prowadził?

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Tomasz Sudół: Bo został pan oddelegowany do tej podchorążówki, tak?

Mieczysław Chojnacki: Tak. Z powrotem wróciłem, tak, zostałem oddelegowany i ci inni moi koledzy też zostali wskazani przez dowódcę placówki. Brano pod uwagę, ile jest w konspiracji, jaki czynny jest w konspiracji. To przeważnie byli tacy łącznicy, coś tego, albo uczyli się w szkołach mechanicznych, to też jak na przykład „Bartosz” i ten „Tanek”, to on na Sandomierskiej ulicy tam, brali w takim jakimś technikum, uczyli się, bo to mogli być przecież potrzebni w armii różni specjaliści na przyszłość. Tak że pewne warunki były takie ustalone.

Tomasz Sudół: Bo to było takie pewne wyróżnienie, tak?

Mieczysław Chojnacki: Pewne wyróżnienie. Tak.

Tomasz Sudół: A po zakończeniu tej podchorążówki gdzie został pan skierowany? Czym się pan zajął?

Mieczysław Chojnacki: Jak skończyłem podchorążówkę? To przede wszystkim musiałem mieć jakieś takie zajęcie na miejscu, nie chcieli się pozbywać tych przeszkolonych, powiedzmy, podoficerów, bo byłem podoficerem i oni zatrudnili mnie w urzędzie skarbowym jako takiego, powiedzmy, trochę pomoc w referacie wymiaru podatków. To było łatwe, bo to nie zmieniali tam tych tabel, tylko się przepisywało z roku na rok tam, co było poprzednio i tyle. Chyba, że ktoś ziemię sprzedał czy coś takiego, rolniczą, czy tam coś. I albo się wypisywało upomnienia, albo... Takie łatwe dosyć prace się robiło, które potem kontrolował referent podatkowy, który odpowiedzialny był i to moją pracę kontrolował. A jak trzeba było gdzieś pojechać i może z aktami razem zawieźć jakieś pieniądze konspiracyjne, to też siadałem na rower i powiedzmy, do Wołomina 10 kilometrów po brukowcu, po kocich łbach pedałowałem i tam w odpowiednim miejscu na hasło się to przekazywało. Dostawało się na bibułce pokwitowanie, chowało się w czapce za podszewką, takiej gołębiarskiej i z powrotem.

Tomasz Sudół: A jaką inną pan działalność...

Mieczysław Chojnacki: A oprócz tego, to prowadziłem pod nadzorem Doliwy, prowadziliśmy trzy kursy tak zwanych młodszych dowódców. To był ten sam program, co na podchorążówce, tylko oni mieli pewne braki w wykształceniu. To znaczy mieli tam, powiedzmy, małą maturę albo jeszcze nieskończoną szkołę jakąś mechaniczną czy zawodową. Takie pewne braki były. I ja dostałem taką klasę złożoną z czterech i dwaj następni, „Bartosz” i „Jur”, dostali też po czterech. I zajęliśmy się ich szkoleniem. Też oni przychodzili do domu moich rodziców. Potem u jednego z kolegów też od czasu do czasu odbywały się moje spotkania z tymi i staraliśmy się im przekazać szczegółowo to, co zyskaliśmy na podchorążówce. Byli na ogół z nas zadowoleni, ale na moim kursie zaszedł wypadek usunięcia faceta z kursu i był nakaz powiedzenia mu, że kurs został rozwiązany, bo trzykrotnie nie przyszedł i nie usprawiedliwił się, i Doliwa go z mojego kursu usunął. A on chodził do dziewczyny. To było powodem, że nie przyszedł, to jak wolisz tamto, to tutaj nie możesz być, bo musisz być jednakże tu. Tak że mój kurs do końca było trzech, a tamtych dwóch, po czterech.

Tomasz Sudol: Czyli to były takie dosyć twarde zasady?

Mieczysław Chojnacki: Takie dosyć zdecydowane posunięcie.